

DAWNO TEMU W GARDZIENICACH

Do „Gardzienic”, w roku 1978/79 dołączyło nas kilkoro – Anna Zubrzycka, Jadwiga Rodowicz, Krzysztof Czyzewski i niżej podpisany. Zespół – tworzony przez Włodzimierza Staniewskiego od 1976 roku, – miał już wtedy mocną konstelację ludzką – byli tam Tomasz Rodowicz, Jan Bernard, Jan Tabaka, Wanda Wróbel, Elżbieta Majewska, Henryk Andruszko, Katarzyna Wilska, Waldemar Sidor; miał *Spektakl Wieczorny*, miał opracowany przez Staniewskiego *Program wiejski*, miał doświadczenie wielu „Wypraw”. Założone przez Staniewskiego „Stowarzyszenie”, ciało opiekuńczo-prawne, skupiało poważnych sojuszników w Lublinie; praca toczyła się w wypożyczonych sali – lamusie w Gardzienicach. Od początku świadczyli też tej działalności, zapraszani przez Staniewskiego na „Forum Teatru”, wybitni specjaliści z całego świata. Profesor Masakatsu Gunji od teatru Kabuki, Hideo Kanze od teatru Nō pojechali z naszą wyprawą na granicę ruską. Prof Gusiew z Leningradu, Zwiwerbłowski z Jeruzolimy, Teodor Kirby założyciel „The Drama Review”. Pojawił się Jerzy Grotowski, mimo iż Staniewski jawnie deklarował sprzeciw laboratoryjności i parateatrowi. Potem nawet Krzysztof Penderecki i wiele innych nazwisk tworzących kulturę tamtej epoki.

Śpiewało się wtedy w „Gardzienicach”: „To czas już, czas już wędrowania, za ptakiem i za snem, swoich wśród obcych szukania, szukania miejsc, ludzi, drzew”. I dalej z Norwida: „By nie zginęło żadne utęsknienie i żadna boleść nie przewiała marnie, i żaden uśmiech, błahy nieskończenie – jest taki Anioł, co skrzydłami garnie – i śmiech, i żal i to Niedotkliwe...”

Tak więc przybyliśmy na Wschód, jakoś w tym samym czasie – Anna z Australii, Iga – właśnie wróciła z rocznego pobytu w Japonii, Krzys – od swojej recytacji poezji, ja – to nie ma w tej chwili znaczenia. Nie połączyły nas jednak nasze osobiste historie – nie przeczę, były to historie ważne, szczególnie dla nas, dwudziesto-dwudziestopięcioletnich – ale to „zaczarowanie czarnoksiężką mocą”, „Gardzienic”, ja nie mam złudzeń, przyszedłem głodny do zastawionego stołu, dosłownie, w Kruszynianach, a przy nim grali i śpiewali ludzie, i służyli mi, kiedy spożywałem.

Praca wieczorna zaczynała się biegiem – zбочem w dół, gościńcem wzdłuż rzeki, jarem przez las, drogą polną, wąwozem, łąką. Parę kilometrów blisko siebie, w gromadzie, w rytmie wspólnie uderzających stóp, na wspólnym oddechu.

Bieg wieczorny ma swoją poetykę, swoje techniki, które można praktykować, swoją przestrzeń, do wypełnienia za każdym razem inaczej. Staniewski zawsze zwracał uwagę na „współzależność” – rytmu, oddechu, obecności. To było zadanie podstawowe, dopiero na tym mógł kreślić biegnący swoje „znaki napowietrzne”, wyzywać innych swoim odczynianiem. Słowa, sformułowania pojawiały się rzadko, nigdy w czasie biegu. On z nami biegł, inicjował to co noc.

Dane mi było po wielokroć prowadzić bieg wieczorny. Na swój użytek myślę, że sprawa dotyczy w istocie stosunku do spadających gwiazd – one w Gardzienicach spadają obłędnie. Kiedy się biegnie rozbijając piersią powietrze, jakże łatwo poczuć się wtedy wybrańcem, kochankiem – ziemia pulsuje, spadają gwiazdy – mieć to za znak, ulec wypełnieniu, szczęściu, przyjąć dar mocy od natury, grupy, prowadzącego i mieć to za swoje. Zapomnieć o innych, przeć do przodu, lecieć, wymachując skrzydłami w ciemności. Zawsze ważniejszy od własnego samopoczucia jest – jak to formułuje Staniewski – „gest napowietrzny”, sprawczy wobec innych. Wywołuje go spadająca gwiazda albo kałuża na drodze, albo potknięcie partnera – zwrot ciała, uniesienie głowy, zawołanie, tchnienie, tknienie, fenomen głosu, wskazanie ręką – piszę o rzeczach wielce konkretnych. Gest niepowtarzalny, osobisty, przeciwny wszelkiej rutynie, wyzywający, otwierający

innym przestrzeń działania. I natychmiast „uwolnienie” – bieg, oddech, gromada, następnie „ćwiczenie”, wzajemność. Żadne psychologiczne konsekwencje, żadne „przeżywanie” – ot, gwiazda, która kiedyś zgasła i której ostatnie światło dotarło tu i teraz, ot, jak mówią Cyganie – ktoś ukradł konia i trzeba zapomnieć, aby go nie wydać.

Bieg wieczorny zawsze był mi przygodą z wolnością – uwolnienie ciała, oddechu, głosu – ale zawsze też był wsłuchiwaniami się w partnera, w jego oddech, w rytm uderzeń jego pulsu, w głosy natury, w ciemność, wsłuchiwaniami się każdą częścią siebie, stopą, która prowadzi bo oczy nie widzą, włosami tego, który biegnie obok, wystawionymi na wiatr.

Zmieniają się pory roku, zmieniają się ludzkie konstelacje – wbiegamy na rozświetloną salę.

Trening, w jakże potocznym rozumieniu tego słowa, był doświadczeniem w jakim przyszło mi dorastać. W szkole pływałem, potem rower, piłka, trochę judo. Kolonijne wyścigi, potem wojsko. Nawet po odsłużeniu mszy, zapasy ministrantów w zakrystii.

I cóż dzisiaj mógłbym z tego wysnuć – przekraczanie progu zmęczenia, czasami radość wysiłku, dobrze funkcjonujący organizm, koledzy, grupa, czy szloch opasłego berbecia pod prysznicem pływalni, stres nieuniknionej porażki, poligonowe, ciemne zmagania. Mając dwadzieścia parę lat, przed przybyciem do Gardzienic, nieobce mi były sny o saltach i fiłkach, dzikie i wyzywające treningi na granicy poważnego zagrożenia zdrowia, ale i mieszcząca i wrocławsko-dekadenska ospałość ciała.

Trening w Gardzienicach, „poruszanie”, jak się tu mówi, nigdy nie był podporządkowany tylko teatralnym efektom, nigdy też nie dążył do wykreowania championa-gwiazdora. Był, jest praktykowaniem wzajemności. Dążył do powołania bogatego zestawu ćwiczeń, poruszeń, fenomenów ciała i głosu, które stanowią obszerny materiał, związany najczęściej z fazą pracy przynależną kolejnemu przedstawieniu. Staniewski zawsze stronił od tego rodzaju profesjonalizmu, który skrupulatnie dozuje wysiłek i łatwo zamienia go na efekt. Dąży do powołania szerokiej „przyrody spektaklu”, otwartej ale oscylującej wokół kilku wybranych tematów, możliwych, w swej uproszczonej formie, do praktykowania z każdym i zawsze. Zawsze też poświęcało się w treningach tyleż czasu asekuracji, co wykonywaniu ćwiczeń. Właściwie nigdy nie ćwiczyło się osobno, zawsze czyjaś ręka podtrzymywała najbardziej zagrożone miejsce, zawsze czyjś oddech dodawał mocy. To się zawsze działo w partnerstwie, w bliskości tego co chroni i wspomaga, to pozwalało ludziom, o doprawdy przeciętnej sprawności, mieć szansę, chociaż przez chwilę, lotu. Później dopiero zaczynała się praca aby to utrwalić.

Pamiętam, przy *Gustach*, noce spędzone na wskakiwaniu i zeskakiwaniu z platform, stanowiących zasadniczy element scenografii. Chodziło o lotność, o zmianę poziomów bez wysiłku, lekko, o przemierzanie przestrzeni w taki sposób, aby widoczna była jedynie smuga, którą zostawia skaczący. Platformy konstruowane były celowo tak, żeby stawały wymagania ciała – zbyt wysokie, zbyt wąskie do normalnego wchodzenia. Gramoliśmy się na nie, wciągali niezdarnie, długo, długo za długo. Bo czas mierzony był „wizgami” – zakrzykiem, szepem, śmiechem, zaśpiewem, jeszcze szybciej, nie wiadomo skąd – z brzucha partnera, z fletu, z rogu sali pod sklepieniem, znad płomienia wydobywającego się z saganka. Wskakiwaliśmy na platformy na dziesiątki sposobów – naskok na udo, poniżej krzyża, prosty kręgosłup przy wyniesieniu w górę, wciągnięcie z zawirowania. Dźwięk poganiał ruch, bieg, skok wkomponowywał się w partyturę muzyczną. Godzinami ćwiczyliśmy to, co później, w spektaklu, było dwudziestosekundowym działaniem, a potem utrwaliliśmy to tygodniami. Wreszcie to się stawało samo, już bez nas:

każdy świst wywoływał nas w innym miejscu sali, na innym poziomie, to już była tylko opadająca ręka, która zapomniała, że wykorzystując impuls kręgosłupa, dźwignęła przed chwilą partnera, bo już jest gdzie indziej, już oświetla płomieniem z saganka lewe oko innego partnera i za drzwiami znika.

Zdarza się komuś powołać konstelacje wyjątkowe. Myślę, że ta z 1979 roku, dochodząc do „Gardzienic”, w pełni zmanifestowała się w *Guslach*. Do dziś nie mogę myśleć o tym spektaklu bez drżenia — *Gusla* nie były dla nas tylko spektaklem, były inicjacją, pierwszym, głębokim zanurzeniem, w proces pracy ze Staniewskim, w tworzenie, bez reszty.

„Gardzienice” to „bojowanie — byt nasz podniebny”. Bojowałem o Siebie, o tego, który mnie przerasta, ale też stałem w szeregu, біłem się o to, co dziś, za Szulcem — Staniewski nazywa naszą „Republiką maszeń”. I znalazłem w tej walce swoje miejsce, gdyż nie była to walka na oślep. Byłem częścią konstelacji i był ktoś kto ją powołał i spełniał bolesne obowiązki „szefa”. Byliśmy pod ochroną, uwolnieni od dobytku teorii, bez umowności — cóż za komfort — dziewictwo! Pamiętam jego podpowiedzi, zakłęcia, wybuchy radości, gdy wzlatywać nam się udawało. Czyż to nie on korygował nasze fałszywe, duszne fałszywe młodości, a ileż razy brał wprost, w ramiona, wirował, żeby do lotu nas doprowadzić.

Od lat wspominam się tych, którzy z „Gardzienic” odeszli — każdy zresztą inaczej. Niestety, towarzyszą temu drobne przekłamania, mistyfikacje. To tak jakby ktoś chciał dorobić legendę schizmy, manipulować wartościami, kreować sprzeniewierzenia. A przecież zawsze będą „przechodzący mimo”. Ci, którzy stąd odeszli, nie byli nigdy bardziej razem niż tu, w Gardzienicach, a tu byli jednymi z wielu, prawda, może szczególnie bliskimi paru sercom. Przyszli i odeszli, wynosząc ile unieść zdołali. Prawda, relacje w grupie nigdy nie sprowadzały się do terminowego kontraktu — to zawsze był teatr podróży, drogi, wyprawy — ale nikt też nie żądał małżeńskich zakłęb. Nie mówiło się o etyce — ludzkiej, aktorskiej — ją się praktykowało na co dzień. Przyrządzanie posiłków, gorąca herbata dla tych co pracują na sali, muzyka przy stole dla tych co jedzą, godziny milczenia, ciszy dla tych co śpią. Higiena współżycia — w okresie pracy zakaz używek i prywatnych relacji. Przywilej służby — nie w ideach — w zmywaniu naczyń, w szorowaniu podłogi sali do zapachu stoi w deskach.

Ważnym etapem był okres wprowadzanie do *Guseł* Ulego Hardta z Niemiec — wtedy zaczęła się moja przygoda dydaktyczna w „Gardzienicach.” To trwało kilkanaście tygodni. Materiał był bogaty: krok cizby wyprowadzony z dolnej części kręgosłupa, cizby „zawiewanie” — uniezależnienie ciężkiej, dolnej części ciała, nóg i krzyża, od części górnej, „lekką pijanej”, wirowania, pomykania, loty, skoki. „Tupałiśmy” całymi nocami — jak mówili na wsi — „kycaliśmy”. To była podróż przez wiele poziomów zmęczenia, szukanie źródeł energii — o zmierzchu, w połowie nocy, po trzeciej, przemoczonej koszuli, o świcie, po świcie, po masażu łagodzącym ból mięśni, na nowo, inaczej, po wybiegnięciu w łękę nocą. Pamiętam tę etiudę, w górnym rogu sali, u sklepienia kaplicy, którą wcześniej próbowałem z Krzysiem. „Pochyliłeś głowę w krzaczek” — z *Dziadów*, „Popatrz, jaki tu żar płonie, mimo deszczu, mimo chłodu, zawsze płonie (...) Ty mnie zabiłeś, ty mnie nauczyłeś czytać, w pięknych księgach, w pięknym przyrodzeniu, czytać, ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś i rajem. A to jest tylko ziemia.” A potem ja te słowa stałem do Ulego, który nie znał Mickiewicza, ani Miłosza, ani świszczących, polskich głosek i którego „romantyzm” — jakże inny od Krzysiowego — musiał współbrzmieć i po miesiącach prób, po miesiącach „bojowania”, współbrzmiał przez następnych kilka lat z moim wołaniem.

Wyprawy — ileż ich było? Może sześćdziesiąt — tych po „Naturalne środowisko teatru”. Wyprawy ze *Spektaklem wieczornym*, ze zgrupowaniem przyrodą *Guseł*. Obskurne „remizje”, rozpadające się chałupy. Cizba w drzwiach — rozkołysana, dysząca — ludzie starzy, kobiety z dziećmi na ręku, gospodarze. Wiejski dziwak, grajek. Gumki, kufajki, czapki, wyblakłe, kolo-

rowe chustki. Tanie papierosy w spracowanych rękach. Zmarszczki na twarzach, twarze jak ziemia Polski „B”. A to szepczą, a to gwarzą, a to klną. Kobiety kołyszają się, śpiewają. Mężczyźni popijają, huczą, czasem popychanka, czasem nieumiarkowanie. I my z Miłoszem — „za trudny chyba dla nas ten Mickiewicz, gdzież nam do pańskiej, żydowskiej nauki”.

Oj, to nie była przygoda, to była walka, inne światy, inne wartości, inne życia. To co przyciągało — kultura tradycyjna, nasza jej indiańskość, jej funkcjonalność, żywotność, człowieczeństwo — to było ukryte, przysypane popiołem, w okrucinach. Szło o tu i teraz — jak sprawić, nie ulec mistyfikacji, nie popaść w chłopomanię. Zaakceptować na Zgromadzeniu kurę, pijaka, świnię i odczynić wokół nich „akt strzelisty”, jak mówi Staniewski. Więc rozpałyły się oczy w śpiewie i pozwalano nam, obcym, z drogi, z bezświata, stroić kuglarskie dziwy, przynosić wieści innych rzeczywistości. A on to wszystko mierzył, sprawiał. Był Zgromadzicielem — nadawał wymiar, przemawiał, sypał sól, odwracał, „rozdawał głowy cukru”, żartował, popychał do przodu, mącił, niepokoił, wywoływał, śpiewał, milczał, wystukiwał rytm, wystukiwał rytm, wystukiwał rytm. „Tylko żywo, tylko śmiało”. Pieśni cygańskie, to działało zawsze. Mało. Wskok na barki, przerzut, opadanie — „Matka Boska z nieba”, powiadali ludzie. Pieśni żydowskie — zapatrzyli się. Grajek przypomniał sobie „Diere gelt” sprzed wojny, gdy grywał z żydowską kapelą po weselach. Wirowanie — „buchnęło, zawrzało, zgasło”. Cisza. Sześć, siedem, osiem sekund. Wieczność. Dopaliła się świeczka, zakwiliło dziecko. I szczerbate babki się śmieją, a chłopaki, luźne w ramionach, tylko łyskają oczyma, dziewczuchy się wstydzą, kobiety odciągają pijanych mężów do chałupy. Do połowy nocy opowieść starego wojaka — „Przeszedłem wschód i zachód... i kto o mnie wspomni...”

To nam już grało, pochodnie w nocy, latarki, pakowanie wózka do wędrowki. Droga lasem, trening, próba na wcześniej wybranej polanie. Dorobiliśmy się sprawności, modeli, które zdawały egzamin. Białe koszule, szerokie spódnice, rozpuszczone włosy, mocne, ciepłe ręce. Odważaliśmy się nawet na innego Zgromadziciela.

Ileż pomyłek po drodze, ileż rozmyślonych oczu, mistyfikacji — że coś się dzieje, pretensji — że oto śpiewamy. A to tylko przyjechali panowie artyści i wieść ich ogląda, więc nie tak, Staniewski wyśmiewa i krzyczy, więc walka, pohlanka, rozpacz. Rozpacz zagrała, ludzie uwierzyli w rozpacz. „Hej, kruki, sowy, orlice... w salach, gdzie te od złota świecące pijaki przy godowym huczą stole, ja, w tej rozdarłej sukni, z tym listkiem na czole, wnidę i stanę przy stole... Całe piekło z mych piersi przywołam do oka...”. Zagarnięcie dłonią włosów Anny, przy skórze, aby nie bolało. Zawieranie, przechyl w łuk nad sagankiem — światło. Odskok na dotyk koniuszków palców, wygięcie kręgosłupa, lewa noga na granicy światła i cienia. Jej lament — rozwarte oczy i usta, ży, mokra twarz. Przytrzymanie, przytrzymanie, zniknięcie. Jakże prawdziwa, ludzka, ta rozpacz musiała być.

To nam już grało — wyprawy, miasto, wieś. Dwa światy, „kultura niska”, „kultura wysoka”. Miejsce styku, pogranicze. To się dotarło w *Awwakumie*. Łemkowszczyzna. Zadrutowana cerkiew w Czarnej. Ludzie tam przyszli po dziesięciu latach, po dziesięciu latach otwarto drzwi. Stali na gołej ziemi, bo rozkradziono podłogę; przed ikonostasem w wielu miejscach ślepym, bo wywieziono ikony. Światło świec wprawiało malowanych świętych w ruch. Pochylone kręgosłupy — „pokajanie”, wzniesione ręce, żegnające się „trzema czy pięcioma palcami”, odwrócone głowy od reszty ciała, w skręcie, gdzieś do nieba, „w światło czy w mrok?”. Ludzie stali i patrzyli, patrzyli. Myśmy śpiewali. Tylko tyle. Ktoś płakał. Święci na ikonach, w migotaniu świec, odczyniali swoje „poruszania z krzyża”, na pieśni. To było jedno z najmocniejszych Zgromadzeń.

Studiowaliśmy potem tygodniami te ruchy, gesty, pochylenia. Ikony Rublowa wprawialiśmy w ruch. Stawało się to treningiem — kręgosłup, dłonie, głowa, skręty ciała, przejścia. U początków *Awwakum* poprzedzony był częścią zgrupowaniem, ukazującą esencję pracy — „odczynianie wzajemności pieśnią.”

To trwało kilkanaście minut, dobrych kilka pieśni. Ruch z kręgosłupa wyprowadzony dźwiękiem, skłonienie ku partnerowi, głos śpiewany do środka, do wewnątrz, w siebie, aby drugiego usłyszeć, aby z nim współbrzmieć, aby jeszcze współbrzmieć z trzecim głosem. Przejście w strefę cienia, skłonienie się ku innemu, w świetle świec. To płynęło nieustannie, na pieśni, to paliło światło, grzało. Najprostsze „gesty wzajemności”, największa współczulność partnerska.

Nasza podróż w *Carmina burana*, wyprawa. Trafiliśmy do Stinche w rejonie Chianti, tam gdzie po raz pierwszy pokazywaliśmy *Gusla*. Pagórki, winnice, oliwki. Osiołek towarzyszył nam w drodze. Słońce piekło. Powyżej kaplicy, nad rzeką, przysiedliśmy. Pieśni łacińskie, słowa *Pieśni nad pieśniami*, „na wielu językach”. Kamienna kaplica, przysli ludzie, przysiedli. Uchylone drzwi. Teraz organy, teraz inna muzyka. Cień Padre Giovaniego. Tam gdzie kiedyś postawiona w dwie godziny konstrukcja do *Gusef*, z żerdzi łączonych sznurami, tam gdzie wirowania, pohukiwania ciżby, wizgi, tam gdzie ja — „idę z daleka, z piekła czyli z raj...” — teraz tylko szept, delikatne przejścia, pieśni o klejnocie dziewictwa, utraconym, ponownie. „Wtedy nie wiedziałem, nie wiedziałem, nie wiedziałem... Co wiesz dzisiaj i co ciebie dręczy... Ach, wszystko dręczy mnie...” — laska Józefa z Arymatei i podziemne labirynty Glastonbury, Merlin w klasztorze Tashiding w Sikkim, wołania i śmiechy w nowogwinejskim Highlandzie, Tintangel, skała z której skoczył Tristan. I tamta harmonia, szatańska, z *Piekła muzykantów*. Słowa co brzmią z oddalenia, przez echo, to jest wyprawa przez moreński las, po jedno słowo, jedno jedyne, niewypowiedziane, z zaśmiechu, w milczeniu — krzyk. Wyprawa każdego z nas, każdego inaczej. Po ja. Po ja — które byłoby posłańcem wyrzuconym przez chór falą pieśni. Ja — powracające do chóru. Jak ten ptak wpadający do rozgrzanej, rozświetlonej komnaty w opowieści Bedy Czcigodnego, z zimy

do zimy, na chwilę, na życie. Jak dytyramb przywoływany nieustannie przez Staniewskiego. Tu już nie ma ciżby. Chór jest muzyką. Nie widać go — słycać. Wszystko wychodzi od niego i wraca, ci z Breugla, ci z Boscha, ci piękni i przetrąceni, „wszystkie myśli, wszystkie pragnienia”, wyrzucone na plac „ja” — ja, moje, swoje, ja, odczyniania. Jak ochronić, jak nie zapomnieć, jak nie sprowadzić tego „ja” — części każdego z nas, na manowce, zapominając o innych? „Ja byłem w wielu kształtach zanim mnie uwolniono. Ja byłem smukłym zaczarowanym mieczem, ja byłem kroplą deszczu w powietrzu, byłem promieniem gwiazdy. Ja byłem Słowem w literach, ja byłem Księgą u jej początku. Mnie stworzył wielki Mag, z zaczarowanej laski, z pięciu pięćdziesiątków nauczycieli i czarodziejów, jak Matematyka ja byłem stworzony. Ja przebywałem świty, ja spałem w purpurze, ja byłem na wieży bojowej. Ja byłem zaczarowanym wężem na wzgórzu. Ja uczynię pole krwi a na nim stu wojowników, długie i białe są moje palce, od dawna nie byłem pasterzem. Ja żyłem jak wojownik zanim nie stałem się człowiekiem liter. Ja wędrowałem, ja krążyłem, ja spałem na stu wyspach, ja byłem w stu twierdzach. Ja byłem błękitnym łososiem, ja byłem psem, ogierem, rogaczem na wzgórzu. Ja byłem pniem, trzonkiem, siekierą w ręce. Ja byłem z moim Panem w niebiesiach, ja nosilem sztandar, ja byłem w Twierdzy, ja byłem w Tetragramaton”.

Mija spektakl jak wiosenna burza. Wracam do codziennego czuwania, przygotowywania akcesoriów. Pieśni, ćwiczenia, książki. Zmierzch. Ruszamy na bieg.

Pracujemy teraz nad nowym spektaklem. A jest to spektakl o miłości. I znowu bojowanie.

Tu na wschodzie jest dom z uchylonymi drzwiami. Dla dzieci i tych marnotrawnych.



Wyprawa 1980 r. Zgromadzenie na wsi. W środku Tomasz Rodowicz i Anna Zubrzycka-Gołaj